

O filmie będę marzył

Bogdan Sobieszek: - Co jest pana największym sukcesem?

Piotr Dzięcioł: - Opus Film - tyle lat, tyle filmów i to, że są przed nami nowe wyzwania, że jeszcze się chce.

A nie Oscar za „Idę” w 2014 roku? Na pewno wpłynął na pańską pozycję jako producenta...

- To wielki zaszczyt dla studia, że film zrobiony u nas zdobył Oscara, tym bardziej że to pierwszy Oscar dla polskiej fabuły. Jestem przekonany, że kolejny film Pawła Pawlikowskiego „Zimna wojna” zdobędzie nominację. Czy będzie Oscar, zobaczymy, bo konkurencja jest duża. Ale to film na światowym poziomie. Sprzedał się na cały świat, wszędzie się podoba, wygrywa kolejne festiwale. Współpraca z Pawłem to też jest duży zaszczyt dla Opus Filmu.

Wszystkie drzwi stoją teraz przed panem otworem?

- Co to znaczy? Każdy projekt filmowy musi obronić się sam. To nie jest tak, że dostaniemy pieniądze na zły scenariusz, bo wcześniej zdobyliśmy Oscara. Za każdym razem to jest nowe wyzwanie. Zanim przyszły sukcesy tych dwóch filmów, byliśmy znanym w branży studiem. Nasze filmy zdobywały nagrody. Teraz oczywiście jesteśmy bardziej rozpoznawalni i w rozmowach z potencjalnymi koproducentami z zagranicy to pomaga, a w Polsce nie ma większego znaczenia.

Ale nagrody świadczą o tym, że ma pan dobrą rękę do filmów.

- Nie myśmy wybrali Pawła Pawlikowskiego. To on wybrał nas. Przyjechał z Wielkiej Brytanii i chciał w Polsce wyprodukować swój kolejny film. Miał jakieś rozeznanie w branży, przyjaciół, którzy mu doradzali i w końcu zwrócił się do Opus Film.

Jak pan wspomina pobyt w Los Angeles na gali oscarowej?

- Targowisko próżności (*śmiech*). Na pewno duże przeżycie. Robimy filmy gdzieś na końcu świata i amerykańskie kino, gwiazdy, skala przemysłu filmowego są nam odległe. Nagle znaleźliśmy się między tymi wszystkimi ludźmi jak między kolegami z branży. Odczułem to szczególnie podczas uroczystości wręczenia Złotych Globów, która jest bardziej kameralna niż Oscary. Jakbym się znalazł na festiwalu w Gdyni. Z każdym można było porozmawiać, o coś zapytać. Czułem się jednym z nich, a nie facetem, który na ulicy zaczepia znanego reżysera czy aktora. Gala oscarowa jest ogromna - na kilku piętrach tłumy ludzi, wszędzie kolejki, kontrole bezpieczeństwa. Oscara dla filmu nieanglojęzycznego odbiera reżyser, ale oczywiście byliśmy na widowni. Tak się stało, że w ostatniej chwili zmieniono kolejność wręczenia statuetek. Akurat poszedłem do baru i na telebimie zobaczyłem, że na scenie Nicole Kidman wyczytuje nominowanych w naszej kategorii. Można więc powiedzieć, że wręczenie Oscara dla „Idy” widziałem w telewizji.

Czym dzisiaj jest Opus Film?

- Studiem filmowym z dużym doświadczeniem. Przez niemal trzydzieści lat wyprodukowaliśmy olbrzymią liczbę utworów audiowizualnych. Nie tylko filmy fabularne. Ponad 1500 reklam, filmy dokumentalne, mocno weszliśmy w produkcję seriali. Jak dobrze pójdzie, w 2019 roku zrobimy cztery 10-13-odcinkowe serie. Nie mogę jeszcze zdradzić szczegółów.

Jak na początku lat 90. wpadł pan na pomysł, żeby założyć własne studio?

- Polski przemysł filmowy przeżywał zapaść, Łódź filmowa się kończyła. Większość moich kolegów wyjechała do Warszawy, gdzie jeszcze coś się kręciło. Mnie Warszawa nie ciągnęła. Wróciłem z dwuletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych i zgłosiła się do mnie grupa młodych Amerykanów,

którzy chcieli wyprodukować w Łodzi film fabularny. Żeby wejść w produkcję, musiałem założyć prywatne studio. Ale nie wiedziałem, czy skończymy na tym jednym filmie. Ostatecznie zrobiliśmy jeszcze dwa filmy dla telewizji. To było jednak za mało, żeby firma zyskała bezpieczeństwo finansowe. Wtedy pomyślałem, żeby wejść na rynek reklamowy, który w tym okresie intensywnie się rozwijał. Udało się i to finansowo ustawiło studio na kilkanaście lat.

W tym czasie TVP otworzyła się na reklamy, powstały prywatne stacje. Było dla kogo robić.

- A w Łodzi byli jeszcze fachowcy, sprzęt, hale zdjęciowe, można było budować dekoracje. W ciągu roku staliśmy się graczem numer jeden. Robiliśmy największe produkcje reklamowe. To pozwoliło mi kupić część Wytwórni Filmów Fabularnych z halą zdjęciową. Z takim zapleczem finansowym i produkcyjnym mogłem myśleć o powrocie do filmu fabularnego. Nie chciałem się ograniczać do reklam. Tęskniłem za fabułą. Wtedy pojawił się „Edi”.

Łatwo się mówi: „mogłem kupić”. Zaraz potem wybudował pan biurowiec. To jednak spore ryzyko. Ktoś panu podpowiadał, jak rozwijać firmę? Ile warta była ta inwestycja?

- Nikt mi nie podpowiadał. To była konieczność. Dobrze się czułem w pomieszczeniach wytwórni, ale w pewnym momencie minister kultury postawił wytwórnię w stan likwidacji - majątek miał być sprzedany. Udało się przekonać likwidatora, żeby podzielił to, co zostało po WFF, bo na całość nie byłoby mnie stać. Nie mieliśmy biur, więc postanowiłem je wybudować. Halę zdjęciową z zapleczem kupiłem za dwa miliony (trzeba ją było wyremontować, bo obiekt pamiętał okres przedwojenny), a biurowiec kosztował około dziewięciu milionów. Wzięliśmy kredyty. Są już spłacone. Zapomnieliśmy o tym.

O tym, że wchodzi pan w projekt filmowy, decyduje nadzieja, że pójdą na to ludzie (czytaj: film zarobi), czy że powstanie wartościowe kino?

- Chyba jeszcze nigdy nie zrobiłem filmu dla pieniędzy, nie myślałem: „O, na tym na pewno zarobię”. Staram się robić kino ambitniejsze, na którym nie zawsze się zarabia. Z drugiej strony dzięki naszemu systemowi dofinansowania produkcji filmowej, też nie dopłacamy. Jest Polski Instytut Sztuki Filmowej, są fundusze regionalne, fundusze europejskie, dystrybutorzy. Budżet udaje się zebrać. W wypadku dobrego artystycznego kina sztuka polega na tym, żeby za dużo nie dopłacić. A może z czasem da się zarobić, sprzedając film za granicę.

„Edi” Piotra Trzaskalskiego z 2003 roku był takim niskobudżetowym przedsięwzięciem, a jednocześnie początkiem nowej drogi?

- To była w całości moja inwestycja. Chciałem pomóc Piotrkowi. Wojtek Lepianka, współautor scenariusza, powiedział: „Zróbmy tani film, bez pieniędzy, ale musimy go zrobić”. Namówiliśmy też operatora Krzyśka Ptaka. Bez pieniędzy się nie dało, ale „Edi” kosztował 900 tysięcy, co w tamtym czasie było jedną trzecią normalnego budżetu. No i sukces. Nie spodziewaliśmy się takiego przyjęcia. Pokazaliśmy film dystrybutorowi, który z rezygnacją stwierdził: „Kto pójdzie na film o złomiarzach? Mogę go wpuścić w kilku kopiach, żeby zaistniał”. A w Gdyni długa owacja. Po „Edim”, który był wydarzeniem festiwalu, miał w kinach bardzo dobrą widownię i jeździł po świecie, zaczęli się do nas zgłaszać młodzi reżyserzy: Sławomir Fabicki, Adam Guziński, Marcin Wrona, Dariusz Gajewski.

Od 2003 roku, czyli przez 15 lat, w Opusie powstało 28 fabuł, 12 dokumentów, sześć seriali, jedna animacja. Ile projektów filmowych, w które Opus się zaangażował, nie doszło do skutku?

- Bardzo dużo. Albo nie udało się dopracować scenariusza, albo nie zebraliśmy budżetu, ale to jest normalne.

Zrobiliście w 2016 roku film „Dark Crimes” z Jimem Carreyem, Charlotte Gainsbourg,

Martonem Csokasem. W Polsce nie wszedł do kin (ukazał się tylko na DVD), ale na świecie miał słabe recenzje. Co się stało?

- To był nieudany film. Główny amerykański doświadczony producent zawierzył greckiemu reżyserowi Alexandrosowi Avranasowi - przyp. red.), który wcześniej dostał jakąś nagrodę w Wenecji, ale do tego projektu zupełnie się nie nadawał. A to mógł być naprawdę dobry film. Tak bywa - nie same Oscary i nie same sukcesy.

Marzyły się panu superprodukcje w stylu hollywoodzkim?

- To się zawsze marzy. Taki serial jak „Gra o tron” chętnie bym wyprodukował. To jest przygoda, która trwa kilkanaście lat. Niestety, Polska to trudny teren dla takich przedsięwzięć. Paweł Pawlikowski należy u nas do wyjątków. Jest przykładem reżysera, który potrafi robić kino uniwersalne, tak samo dobrze odbierane w Stanach, we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Ogromna większość polskich tytułów to są tematy lokalne robione dla polskiego widza. Trzeba mieć świadomość, że jeśli to nie jest absolutny hit, jak „Kler” czy filmy Patryka Vegi, bardzo trudno będzie zwrócić zainwestowane pieniądze. Kiedy, produkując kino bardziej ambitne, idę do przyjaciół, którzy mają pieniądze, nie powiem im: „Pomóżcie, na pewno na tym zarobicie”. Stawiam sprawę jasno: „Wchodzisz w projekt artystyczny, a tu nie ma gwarancji na zwrot nakładów”. Nie będę nikogo naciągał. Mimo to pozostanę przy kinie bardziej artystycznym niż komercyjnym. Z komercją pewnie też bym sobie poradził, ale o tych filmach tak szybko się zapomina, a o „Edim” czy „Idzie” będziemy pamiętać jeszcze długo.

Szukacie koproducentów podczas dużych festiwali?

- W Cannes, Wenecji, Berlinie jesteśmy, ale nie uczestniczymy w ogólnych sesjach. Nie musimy stać w kolejce, żeby zaprezentować projekt. Mamy taką pozycję w branży, że z potencjalnymi partnerami spotykamy się raczej indywidualnie.

Pana sukces ma też wymiar finansowy. Uważa się pan za zamożnego człowieka? Jak pan z tego korzysta?

- Jeśli policzymy wartość majątku filmowego, który zbudowałem, to jestem milionerem, ale żyję zupełnie normalnie. Starcza mi na moje potrzeby. Jeśli chcę gdziekolwiek wyjechać, to jadę. Ale nie rozrzucam pieniędzy.

Czuje pan, że jest kimś ważnym dla miasta?

- Tak. Zostałem w Łodzi i to, co robię, stanowi istotną część współczesnej treści określenia Łódź filmowa. Jest tu Szkoła Filmowa, Narodowe Centrum Kultury Filmowej, Muzeum Kinematografii i są producenci. Nie da się ukryć, że spośród tych ostatnich Opus Film robi najwięcej. Dzięki naszej działalności ekipy filmowe ciągle jeszcze łodzianom „przeszkadzają”.

Daje pan pracę sporej grupie ludzi. Jakim pan jest szefem?

- Za dobrym. Mimo że jestem starszy od większości swoich pracowników, w relacjach w firmie panuje luz i układy raczej koleżeńskie. Przez Opus przewinęło się mnóstwo ludzi. Część z nich pozakładała własne firmy i nie ma się czemu dziwić. Są też tacy, którzy pracują od początku i jest im dobrze. Tak naprawdę mamy dwie firmy: Opus Film i Opus TV z siedzibą w Warszawie, której szefem jest mój syn Łukasz, ale on pracuje i mieszka w Łodzi. Zatrudniamy ludzi przy projektach i to są członkowie ekip filmowych. Jeśli prowadzimy trzy produkcje w jednym czasie, a tak się zdarza, to naprawdę mamy tu tłum ludzi. Oprócz tego jest stała grupa - księgowość, sekretariat, asystentki, kierownicy produkcji - to około 25 osób.

A pan sam dużo pracuje?

- Ostatnio za dużo. Muszę czytać scenariusze, a tego w firmie nie da się robić. Kiedy wracam do domu, zwykle mam jeszcze do przeczytania trzysta stron. W biurze większość problemów w końcu

trafia do mnie. Podejmuję decyzje artystyczne i strategiczne. Dwa razy w tygodniu jeżdżę do Warszawy, gdzie również mamy swoje biura. Tam przede wszystkim siedzi branża reklamowa. Poza tym, przygotowując serial, spotykam się z reżyserami, scenarzystami, przedstawicielami stacji telewizyjnych. W wypadku filmu muszę się spotkać z każdym potencjalnym partnerem finansowym. Jeśli jest to projekt komercyjny – szukamy gotówki na rynku, jeśli artystyczny – staramy się zmieścić w dostępnych pieniądzach publicznych. Inwestor wykładający milion na kino artystyczne to rzadkość.

Starszy syn Łukasz, wykształcony na uczelni filmowej w Stanach, szykuje się do przejęcia firmy?

– A ma inne wyjście? Ktoś to musi przejąć. Teraz jesteśmy partnerami. Łukasz ma dużą autonomię. Sam produkuje filmy i seriale. Im więcej będzie miał swobody, tym mniej obowiązków spadnie na mnie. Cieszę się z tego.

W jakim stopniu film wypełnia pana życie? Jak pan odpoczywa? Ma pan jakieś pasje poza filmem?

– Trzeba się od tego oderwać. Moją pasją jest głównie film (śmiech). Dużo oglądam. Bardzo dużo słucham muzyki i to nie tylko z płyt. Jestem wielkim fanem Filharmonii Berlińskiej i średnio raz w miesiącu jeździmy tam z żoną na koncerty. Poza tym wykupiłem specjalną aplikację, która umożliwia oglądanie przez Internet wszystkich koncertów z Berlina w jakości HD. Czasami robimy sobie taki pięciogodzinny wieczór Filharmonii Berlińskiej w domu. Latem – wakacje, zimą jeździmy na narty albo do rodziny do ciepłych krajów trochę się wygrzać. Takie normalne życie.

Macie na koncie Oscara, nagrodę w Cannes i wiele innych. O czym pan teraz marzy?

– Kiedy pomyślę, jak zaczynałem i gdzie jestem teraz, dochodzę do wniosku, że wszystkie marzenia udało mi się zrealizować. Marząc w młodości o studiach w Szkole Filmowej, przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym zajść tak daleko. Kinematografia było państwowa, a ja marzyłem, żeby po prostu pracować w filmie. W miarę jak polskie realia się zmieniały, moje marzenia się poszerzały: mieć własne studio, robić to, co chcę. Biorąc pod uwagę Oscary i pozycję naszej firmy, o czym tu marzyć? Chyba tylko o świętym spokoju.

Jest pan zatem człowiekiem spełnionym?

– Zawodowo w stu procentach, choć oczywiście zawsze chodzi po głowie fajny duży film, międzynarodowa koprodukcja z wybitnym reżyserem i świetnym scenariuszem, z dobrą obsadą. Każdy by chciał taki zrobić i dopóki będę aktywny zawodowo, będę o tym marzył.

--

*Wywiad pochodzi ze styczniowego „Kalejdoskopu” (1/2019). Pismo do kupienia w Łódzkim Domu **Kultury**, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): [TUTAJ](#) (w ofercie darmowa dostawa do kiosków Ruchu).*

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w aktorskich interpretacjach [TUTAJ](#)